

po wyniesieniu zaledwie jednej części przygotowanych rzeczy. — Cóż z resztą zrobimy?

— Możeby ukryć w stodole i w piwnicy?

— Ach, to potrzeba przecież czasu na to, musimy tak zostawić.

Kobiecie żal było zostawiać na pastwę płomieni całego ich dobytku, zachęciła więc męża do nkrycia tychże rzeczy.

W tej chwili przerażający huk wstrząsnął powietrzem, granat z hukiem upadł na zamek, strącając wystającą basztę. Grad zdruzgotanych cegieł i kamieni zwałił się na podwórze zamku.

Zona Franka krzyknęła przeraźliwie, zataczając się na nogach. Błyskawicznie pochwycił ją Frank w objęcia silnymi ramionami. Ciało kobiety poczęło trząść się jak w malarycznej febrze, przymknięte oczy i bezwładność ciała wskazywały, że wpadła w stan omdlenia.

Zerwały się ze snu przerażone dzieci, przeciągłym płaczem napełniły izbę, spotęgowanym w dodatku napół martwą postacią matki, którą Frank zdołał położyć na łóżku.

— Mamo, mamo — zapłakały dzieci.

— Cicho! Cicho! — błagalnie upominał dzieci Frank. — Mamie się nic nie stało.

Zimną wodą potarł jej skronie, a gdy otworzyła oczy, przechylił szklankę do ust. Parę kropel wody dostało się do gardła, oprzytomniała.

— Jasiu! Jasiu! Na miłość Boską uciekajmy. Boję się, strasznie się boję.

— Cicho, Maryniu, cicho! Widzisz, dzieci są przerażone! Już jedziemy. Nie bój się nic! Bez woli Boskiej nic nam się nie stanie. Wybuch granatu przeraził cię, moja ty nkošana. Zbierz siły, już jedziemy.

— Już idę.

Podniosła się przy pomocy męża, który pochwycił ją w silne ramiona i, jak dziecko, na wóz wyłożony słomą i dywanami posadził. Skoczył potem po dzieci, usadawiając je obok matki.

— No, w imię Boga, ruszamy! — Przeżegnał się pobożnie, znak krzyża świętego nad rodziną swoją uczynił i prowadząc konia za uzdę, w stronę bramy wjazdowej ruszył.

Czas ku temu był wielki. Od granatu zajęła się zachodnia część zamku, oświetlając dziedziniec. — Z okien zamku wyrzucali żołnierze pozostałe rzeczy, meble, portrety, słowem wszystko, cokolwiek mogło uleść zniszczeniu, palne zaś materiały znosili na rozpalone ogniska, paląc je.

Frank dotarł z bryką do bramy, prosząc żołnierzy o zrobienie miejsca na przejazd. Droga zalana była płynącą falą ludzką, niemożliwością zatem było przedostać się, bo w tejże samej chwili przeszkoda w postaci bryczki, tamującej ucieczkę, musiałaby uleść zniszczeniu. Płacz dzieci, napróżno uspakajanych przez matkę, mieszał się z przekleństwami rozgoryczonych żołnierzy.

Podciągnął lejce koni, zamierzając przedostać się na drugą stronę drogi i tam wybojami dotrzeć do gęstwiny leśnej, następnie do drogi, prowadzącej do osady, pośród trzęsawisk położonej.

W jednej chwili fala ludzka otoczyła brykę, coraz dziksze słowa przekleństw i grózb rozległo się wokół, a wszystkie zwrócone do nich.

— Do bagna wrzucić bryczkę — rozległy się głosy.

Frank usiłował wytłumaczyć żołnierzom rozpaczliwe swe położenie, spowodowane ciężką chorobą żony.

— Bryczka dla rannych — rozległy się głosy.

Słowa te podziały na stojących obok żołnierzy, podskoczyło kilku z nich, znosząc żonę i dzieci do przydrożnego rowu. Ogłuszony uderzeniami brutalnych pięści Frank, ocknął się szybko i zorientował w sytuacji. Żołnierze zajęli bryczkę, wyrzucając tuż obok nich ostatki ich dobytku.

— Musimy, Maryniu, natychmiast stąd uciekać! Czy masz na tyle siły, aby iść?

— Spróbuję — odpowiedziała słabym głosem.

Podźwignął ją, powstała, chwiejąc się na nogach. Postąpiła z trudem parę kroków, szepem nawołując dzieci, trzymające się skwapliwie sukien matczynych i pedreptujące za rodzicami.

Potykać się po wyboistej drodze, dotarli do skraju lasu, gęsto zarosłych ostrężyn i kolczastych krzaków polnej różyczki. Ognista łuna palącego się zamku dotarła do lasu, oświetlając drogę nieszczęśliwym wygnańcom. Czerwone smugi światła poprzez gęstsze przedzierały się, wkradając do wnętrza odwiecznego boru.

Przy tem świetle miał Frank wielce ułatwioną drogę w lesie. Znał on wprawdzie tutaj każdą ścieżkę, pomimo tego zabłądzić można było bardzo łatwo i czy to beznadziejnie błędzić, czy też na torfowisko leśne natrafić i wpaść w błotną kałużę.

Na małej polance, do której dotarły łuny pożaru, oświetlając ją czerwonym światłem, leżał trup rozstrzelanego jeńca, przywarty twarzą do ziemi. Kurczowo wbiły się jego palce, krwią skrzepłą powalane, w zielony mech, chwytając go ostatnim wysiłkiem życia. Dostrzegł już zdala Frank leżące na ziemi zwłoki, a nie chcąc natknąć się na nie, ze względu na żonę, zboczył w szumiący las, pragnąc ominąć to miejsce, aby oszczędzić nowych wrażeń żonie i dzieciom. Z trudem postępowała Frankowa naprzód, tłumiąc w sobie ból i jęk, który wyrwał się jej z piersi. Frank torował wśród krzaków drogę, odchylając lewą ręką gałęzie drzew, prawą zaś objął przez plecy żonę i podtrzymywał ją w tym męczącym pochodzie. Dzieci postępowały za nimi, upominane często przez ojca. Dziesięcioletni Staś ujął swą sześciolletnią siostrzyczkę, Wandzię, podobnie jak ojciec i wtuliwszy się pomiędzy rodziców prowadzić ją począł. Była to scena do głębi serce ludzkie przejmująca, rzekłbym, z Dantego „Piekła“ wyrwana, beznadziejnie szukająca drogi ocalenia na dnie Tantalskich mąk.

A takich i podobnych scen w Polsce tysiące było i ciągnie się ta scena dantejska w nieskończoność.

Jeszcze gdzieś migotało czerwone światło od strony zamku, gdy gromadka nasza powoli poczęła wchodzić w ciemności szumiącego lasu. Dochośny huk armat potęgował jeszcze trwogę, która się w ciemnościach nocy i lasu wkradła do ich serc przelekłych.

Ostrożnie, wyszukując drogi, żywa kolumna z ciał bezdomnej rodziny, zapuszczała się coraz głębiej w nieznana stronę lasu. Omdlały już ręce Franka, a ciało żony coraz bardziej poczęło mu ciężać i coraz słabiej i chwiejniej kobieta stawiała kroki.

— Odpocząć, może zechcesz odpocząć? — szepem zapytał żonę.

— Nie, nie! Prędzej do chaty jakiej — odpowiedziała — Rozpoczęły się bóle we mnie. Boję się tutaj...

— Bóle, dopiero dziś dostałaś! — z trwogą zauważył Frank, przerażony stanem żony, przypuszczając, że wszystkie te przejścia i wzruszenia mogą spowodować szybsze narodziny.

Myśl ta, jak wampir wżarła mu się do serca, kasać poczęła i targać wewnątrz. Usunęli się od jednej zgrozy, wyrwali z rąk rozognionej wojny i śmierci, która ich jednak zdawała się gonić i ścigać na każdym kroku, coraz większe tortury zadając. Gdyby rzeczywiście kobieta jego zachorowała mu w drodze, śmierć jej była nieuniknioną, więc stanął mu przed oczyma cały obraz zgrozy, utrata najukochańszej istoty. Już i płacz dzieci nie wzruszał go, zdawało mu się, że całe serce i rozum zbiegły się tylko w kierunku ratowania ukochanej istoty.

— Czy prędko zajdziemy do jakiej chaty? — przerwała mu żona jego rozmyślenia — Czy dobrze idziemy?

— Tak, tak! — kłamstwem uspakajał żonę — Niedługo już. Las się kończy, potem grobla przez moczarzyska i zajdziemy do osady. Tam już będziemy bezpieczni. Chwilę jeszcze cierpliwości. Drogę znam, gdyż często chodziłem tędy.

Przystając na chwilę, skupił myśli, aby się zorientować w jakim kierunku znajdują się i czy są na właściwej drodze. Wprawdzie tę stronę lasu znał od lat kilku, jednakże pośród ciemności i wijących się ścieżek i dróg łatwo można było zabłądzić i drogę stracić. Dopóki przyświecały im łuny pożaru, szedł krokiem pewnym naprzód, nie mając czasu na obserwowanie drogi i kontrolowanie kierunku ucieczki. Ucieczka ta bowiem przedsięwzięta była pod wpływem grozy i widma śmierci, nie też dziwnego, że mógł odrazu pójść wręcz przeciwnymi drogami.

Rozglądając się wokoło, na pniu zwałonym usadawiając kobietę ciężko oddychającą pod wpływem zmęczenia. Wyprostował przemęczone ręce i ramiona i począł wzrokiem odszukiwać drogę, którą należało mu się udać, aby nie zabłądzić. Zwalone pnie świadczyły, że niezbyt daleko są od głównego traktu. Drzewa były tu coraz rzadsze, wycięte już i nie tworzyły gęstego lasu.

Przechodził w pamięci każdy krzaczek i kłodę drzewa, chcąc myśl doprowadzić do dobrej orientacji.

— Ach! — wyrwał się z gardła okrzyk radości.

Pytający wzrok skierowała żona na Franka, jakby zdziwiona, tem dziwnem zachowaniem się wobec jej położenia.

— Marysiu! Niedługo będziemy na miejscu. Kilkadziesiąt kroków stąd będzie mała polanka, później już sama gęszc, ciągnąca się do torfowisk, przez które wiadoma mi droga wiedzie do chaty starej Marycy, którą zeszłej jesieni przytuliłem przez

jakiś czas we dworze i dopomogłem do zbudowania chaty. Pośród tej, wrogo nam usposobionej ludności, znajdziemy cichy kącik i stara Maryca z pewnością we wszystkim nam pomoże.

— Więc chodźmy już! — odrzekła, usiłując podnieść się z pniaka.

Nadzieja ukończenia tej strasznej męczarni dodała im sił. Z trudem powstała, tłumiąc ból i słowa wyrwywającego się gwałtem jęku.

Pewniej i raźniej podtrzymywał Frank żonę, odpędzając niepokój myśli, czy jesienne deszcze nie zatopiły i nie zamuliły, wiodące przez moczary grobli. Przeszli gęszcza ciernistych jałowców, gdzieś gdzie tylko zamigotała im puszysta sosna lub młody świerk. Gleba stawała się coraz miększą i zapadającą się pod stopami nóg. Wreszcie stanęła przed nimi pusta przestrzeń niezarośniętego drzewami szmatu ziemi. Promienie księżyca ślizgały się po lśniącej tafli moczarysk, zatrzymywały się pośród lasów trzcin wodnych i różnorakiego sitowia.

— Bogu dzięki! — szepnął Frank. — Zatrzymamy się tutaj na chwilę i wyszukam groble, wiodącą do chaty Marycy. Wyszukał suchą kępę ziemi, rozłożył płaszcz na niej, spoczynek chwilowy przygotowując żonie.

Znał już dobrze tę drogę, należało tylko zbadać, czy grobla nie była zniszczona i zalana wodą. Ułamana gałąź sosny służyła za przewodnika.

Zdala, wśród lśniącej toni torfowisk, błyszczało złote migotliwe światelko, jakby iskierka, lub błędny ogień, wabiący oko ludzkie.

— To chata Marycy! — westchnął z ulgą Frank, wypatrując ścieżki, przez którą do ważkiej grobli doszedł. Po kilku minutach szukania odnalazł wreszcie przejście, zawrócił natychmiast do rodziny, pozostawionej na krańcu moczarysk. Przytulone do łona matki uspiły się dzieciśka, okryte grubą, wełnianą chustą. Od ziemi szła wilgoć przenikliwa i mimo dość ciepłego, jesienno wieczoru kobieta dygotała ze zimna.

— Marysiu! — zwrócił się Frank do żony — już jesteśmy prawie u celu. Stąd pół wiorsty drogi do chaty. Czy możesz zebrać siły?

— Spróbuję!... Tylko żal mi budzić dziecięta. Pospały się natychmiast po twojem odejściu. Ale dobrze, żeś już wrócił, trzęsę się cała.

— Zimno ci! Dreszcze masz!

— O, nie tak zimno! Bałam się strasznie. Każdy szelest wichru, liści przejmuję mnie niepojętym lękiem. Och, gdyby dłużej przyszło mi samotnej tu zostać — umarłabym ze strachu.

— Zbudzę dzieci!

— Dobrze!

Rozespane dzieciśka, ciepłem łona matczynego ukołysane, krzywić się poczęły, jednakże obiecanka niedługo już kończącej się podróży naprawiła miny dzieciąt. Usiłowała powstać kobieta, siły ją jednak zawiodły. Nogi trzęsły się ustawicznie, straciły siły do dalszej drogi.

— Musimy, Jasiu, dojsć!

— Poniosę cię...

— A dzieci?

— Muszą chwilę tu pozostać! Niepodobna naraz was zabrać. Ścieżka jest dość wązka, dziecko łatwo mogłoby się zatoczyć i wpaść w torfowisko.

— Nie! — odparła — Dzieci nie mogą tu zostać! Raczej ja zaczekam, ty przenies je na rękach, potem się po mnie wrócisz.

— Dość daleka, Marysiu, droga. Zanim wrócę, mogę już przybyć zapóźno!...

— Nie... nie... dzieciśka umarłyby tu samotne. Jakąbym była matką.

— Tatusiu! — odezwał się milczący dotychczas Stach. — Ja Wandzię za tatusiem poprowadzę. Ja prowadziłem Wandzię do tej chwili.

Frank namyślił się nad słowami syna, spojrzał na żonę, poczem zwrócił się do Stacha:

— Wązka droga, Stasiu! Na rękach muszę was przenieść. Widzisz, jaki to wązki skrawek. Moznaby wpaść i utonąć.

— Tatusiu, ja umiem po torfowiskach chodzić. Z Marycą często chodziłem. Niech tatuś pozwoli, pójdziemy za tatusiem.

Frank objął gałąź sosny, podał ją Stachowi, pouczając o sposobie wyszukiwania kęp glebnych, po których bezpiecznie można było stapać i napomnił, aby zaraz za nim tą samą drogą, prowadząc siostrę podążał. Kocem wełnianym trzęsącą się dreszczami żonę owinał, pochwycił w grube ramiona i ruszył przodem, uginając się pod drogim ciężarem.

Ostrożnie, stopa za stopą, badając glebę, stawiał kroki ku ścieżce, wijącej się wśród moczarysk i na nią się skierował.

(Dokończenie nastąpi).